

BAŁAMUT.

O słabomyślnych w Irlandyi.

(s pism jednego Irlandczyka.)

Irlandya oddawna sławi się zarówno z ludzi słabomyślnych, jak i s chytrych oszustów. Śmiało ręczyć mogą iż żaden kraj nie posiada tylu głupich: tak przynajmniej rzecz się miała za młodości mojej, w szczęśliwych dawnych czasach. Nie mówię tu nawet ani o owych pocziwceach, podciąganych pod tę rubrykę s powodu iż poehlebnie sądzili o bliźnich, ufali przyjaciółom i dobrze im czynić starali się, ażeby tém przykrzejszego doznać z ich strony zawodu; ani o owych rubasznych *bon vivants*, którzy, pospychawszy wielu innych w otchłań nędzy, sami też na oślep do niej lecą; mówię chcę jedynie o owych godnych litości stworzeniach w których umysłowej organizacyi sama natura chybiła; o ludziach których nazywać grzecznie zwykliśmy niewinnymi, słabomyślnymi z urodzenia.

Tysiączne cieniowania składające charakter rodowitego Irlandczyka nie mniej godne są uwagi od dzikiej harmonii jaka pomiędzy niemi panuje. Każde prawie indywiduum składa się z samych sprzeczności, z samych wręcz sobie przeciwnych pierwiastków. Wesołość irlandzka nosi zawsze piętno jakiejś melancholii, i, przeciwnie, w najczarniejszych obłokach irlandzkiego smutku przebija się zawsze jakaś tęcza radości.

Niewątpliwa iż żaden kraj nie jest od Irlandyi płodniejszym w ludzi słabomyślnych z urodzenia. Można by nawet przyjąć za pewnik, iż przy wyjściu na świat dziecięcia, od samego jedynie zależy przypadku czyli urodzić się ma istota głupia czyli też rozsądna. U dorosłej nawet młodzieży trudno częstokroć poznać do jakiego liczyć się ma rzędu i nie masz może irlandczyka w którego by umyśle głupstwo tyle przynajmniej nie zabierało miejsca ile zdrowy rozsądek. Tać to

podwójna natura daje irlandskiemu charakterowi tyle dziwactwa i tyle malownej różności irlandzkim obyczajom. Słabomyślni nasi trafiają częstokroć na pomysły zadziwiające swą wielkością, a ludzie rozsądni dają się nieraz słyszeć s tysiącem zdań najnikczemniejszych.

Czyliż więc rzeczywiście, zapytywałem nieraz sam siebie, żywość pojęć, tyle w ogólności spółziomków moich odznaczająca, służyć ma jedynie do utrzymywania równowagi na szali ich umysłowej organizacyi? Czyliż rozsądek rzeczywiście tak blisko graniczy z głupstwem? Jestże tylko narzędziem dodatkowem w budowie mózgu, do tego stopnia, iż jedynie od jego obecności zależy czyli człowiek ma być wielkim politykiem i mowcą czyli słabomyślnym z urodzenia? — Jednakże, nie zapuszczając się tą razą w obręb metafizyki, wprost przystąpmy do rzeczy.

W całej okolicy, gdzie młodość moją spędziłem, każdy prawie dóm znakomitszy miał własną wpół-rozumną istotę, która czyściła noże i widełce, zamiatała dziedziniec, karmiła bydło i t. d., słowem starowiła ogniwo łączące rodzaj ludzki ze zwierzęcym. Istota ta karmi się odpadkami kuchennego jadła, śpi w którymkolwiek s chlewów, chodzi boso i z głową w każdej porze roku obnażoną i, jakichbykolwiek lat była, zawsze zowie się *chłopcem*. Nie przypominam sobie żadnego s tych *chłopców* któryby nie miał przynajmniej pięciu stóp wzrostu, siwych oczu i włosów jak len białych. Rozumie się, że tu tylko mowa o naturalnych tego rodzaju wyrodnkach, nie zaś o tych którzy do zwierzęcego spodlenia dochodzą drogą sztuczną, w skutek rozmaitego rodzaju nadużyć.

Nader isteresująca była dla mnie regularność z jaką biedne te istoty każda s powinności swoich spełniały. Obręb ich był wprawdzie nader ograniczonym, zawsze jednak okazywał się w nich jakiś ruch władz umysłowych, którego stopień trudnym jest do określenia. Obracający rożen mógł co do minuty przepowiedzieć kiedy pieczeń będzie gotowa; pil-

nujący w oborze bydła, oznaczał z największą trafnością godzinę do dojenia najstosowniejszą; nakoniec noszący listy na pocztę, do miasta, nigdy nie chybiał należytej godziny: torował sobie drogę przez bagna, trzęsawice, zarośla i lasy, i pokonywał trudności któreby może zastraszyły doświadczonego nawet zająca.

Widziałem prawdziwie wrzuszające przykłady zwierzęcego prawie przywiązania i wierności takich istot ku swoim panom. Bogaty jeden dzierzawca, czasu bezrządów rokosz 1798 roku, nagle od trzech dni był zniknął. Jednocześnie też Mat, stajenny jego chłopiec, przestał być widziany i miano już mocne podejrzenie że pana swojego sprzątnął, gdy czwartego dnia znaleziono biednego masztalera nad trupem swojego właściciela, zamordowanego w lesie, i który sam umierał już prawie z głodu. W jednej s przechadzek znalazł on był ciało swojego pana i wołał zginąć z głodu niżeli go opuścić.

Inny, znany w okolicy naszej pod nazwiskiem Godshama, po śmierci swojej matki długo nosił nędzny swój obiad na cmentarz, dzielił jadło na małe części i zakopywał w otwory robione ręką w mogile. Sam widziałem jak, w deszcz ulewny, ściągał z siebie kaftan dla przykrycia grobowca, i słyszałem jak, biorąc miłczenie matki za upor, czynił jej najczulsze wyrzuty. Od wzniosłości do śmiesznego nie było już ani kroku.

— »Hej, wołał, moja pani matko! czemuż nie chcecie wrócić do domu? Czy was bies opanował że tak długo leżycie tu na chłodzie? wszakże dawniej nie tak często wyglądaliście bywało za drzwi; coż więc teraz przyszło wam do głowy? Choć pomówcie co ze mną!

— Oto przynoszę wam tabakę i miarkę gorzałki przeciw mgłom i chładowi.« — Jakoż, w rzeczy samej, rozgrzebał nieco ziemię, wsypał w otwór tabakę i zalał przyniesioną we flaszkę wódką.

We wspomnianej już epoce rewolucyjnej, wypadek jeden, s człowiekiem podobnegoż rodzaju, uczynił na mnie nader silne wrażenie. Niedaleko lasku, u drogi pomiędzy Edenderry i Carberry, stała nędzna chata ubogiej wdowy, której jedynym majątkiem i jedyną pociechą był syn Larry, słabomyślny z urodzenia. Nieszczęśliwego tego syna uważała ona za ulubieńca niebios, gdy rzeczywiście, w stanie w jakim się znajdował nie mógł stać się winnym żadnego grzechu. Larry zarządził wszystkim w domu i rozmawiał jedynie

z matką, w niezrozumiałym jakimś języku. Pięknych dni przesiadywał zwykle u drzwi chatki, z worem pomiędzy kolanami, na jałmużnę; matka zaś, s postawionego w progu łóżka, żalnym głosem błagała przechodzących o wsparcie dla biednego, niewinnego (t. j. słabomyślnego) kaleki, obiecując wspinałomyślnym dawcom nieprzeliczone z niebios nagrody.

Takim sposobem odludna ta para hojne miała opatrzenie wszystkich potrzeb i, z oszczędzeń, udało się jej nawet zebrać znaczną sumę w gotowiznie, którą syn, za poradą matki, w jednym s kątów izby zakopał. Odtąd staruszka nigdy ze skarbu tego nie spuszczała oka; we śnie zaś czuwało jej ucho. Przeciwnie, Larrey zupełnie o nim zapomniał, chociaż zresztą nigdy nie oddalał się s chaty.

W tym czasie okazały się, jak już wspominałem, pierwsze symptomata rewolucyi. Bitwa pod Clonard (tak bowiem zwano napadnienie i obronę jednego domu) była pierwszą wyprawą rokosz, którzy wkrótce, pod Carberry, na głowę zostali rozbici. Ścigani od dragonów, rzucali o ziemię wszystko cokolwiek zawadzać w ucieczce mogło, i znaczna ich liczba skryła się w zaroślach otoczonych błotami, w naszym sąsiedztwie, dokąd też udał się za niemi w ślady oddział jazdy.

Rankiem, nazajutrz po krwawej tej potyczce, żebraczka nasza usłyszała nagle zbliżający się tentent koni, i natychmiast syna swojego z głębokiego snu obudziła. W kilka minut Larrey siedział już na zwykłym swoim stanowisku i, obojętny na wojenną wrzawę, wyciągnął, jak zwykle, rękę po jałmużnę. Matka zaczęła też właśnie swoją codzienną litaniją, gdy wpada nagle do ich mieszkania jakiś człowiek cały krwią zbryzgany, wywraca siedzącego w progu niedołęgę i okropnym głosem żąda przytułku i ukrycia. Stara poczęła s przestachu krzyżeć; syn zaś, za danym od niej znakiem, położył się w kącie gdzie zakopane były pieniądze i ukrył się całkowicie pod kupą nagromadzonych łachmanów.

W mgnieniu oka cała lepianka napełniła się dragonami ścigającymi swą zdobycz i wkrótce nieszczęśliwy zbieg upadł pod ciosami kilkunastu szabel. Biedna żebraczka podzieliła jego niedołęgę, gdy cios przypadkowo skierowany ugodził ją w same piersi. Załedwie stało jej czasu zawołać głośno na syna. Jeden z dragonów odkrył niebawem schronienie nieszczęśliwego kaleki, wywlócił go na

podwórze, i gdy na wszelkie pytania Larrey zaledwie jakieś niezrozumiałe słowa wyrzec umiał, rozsiekano go przed progiem, literalnie, na sztuki.

Częste nawroty okropności rewolucyjnych uczyniły pobyt na wsi nader niebezpiecznym, szczególnie w hrabstwie Leinster, gdzie powstańcy najbardziej szermowali. Wszystko uciekało do miast pobliskich. I moja też rodzina szukała przytułku w tych ludnych siedzi-
bach spokojności: dla nas zaś, dzieci, zmiana ta miejsca nader była przyjemną. Miejscy słabomyślni cieszyli mnie nieskończenie: lecz byli to już *chłopcy światowi*, dla których nazwisko „niewinnego”, nie nader było właściwem. Sama okoliczność obioru miasta na teatr swojej professyi, okazuje już instynktspekulacyjny i przemysłowy.

Głównemi figurantami na słabomyślnym świecie naszego miasta były następujące osoby, z właściwemi przydomkami: Brodigan Pompierz, Dżak z miedzianym nosem, Denny Tancmistrz, Will Woods, John Ring i Paddy Puss.

Pierwszemu s tych niedołęgów, w jednej s potyczek, uszkodzoną została czaszka i zgruchotano jedną nogę. Straszliwy s postaci, żółtkły, długowłose, z okropnym wyrazem szaleństwa w oku, zdawał się prawdziwem widziadłem bitwy na której zmysłów pozbawiony został. Cały dzień włóczył się po ulicach, każdemu zuchwale zastępował drogę grożąc zlaną swoją nogą, wrzeszczał, kłął i wywijał nad głową ogromnym kijem, szarpiąc tymczasem drugą ręką i miotając w tę i ową stronę tylne połę odzieży. Najmniejszy pieniądz dany mu w jałmużnię przechodził natychmiast do najbliższego szynku; lecz ogromna ilość gorzałki którą codziennie wypijał nie zdawała mu się ani pomagać ani szkodzić.

Niewiem skąd właściwie Dżak z *miedzianym nosem* przydomek ten otrzymał. Nos jego podobny był tylko do orlego dzioba; oczy miał jakby sklane, bez najmniejszego wyrazu. Zresztą było to stworzenie arcy niewinne i spokojne; tylko zdawał się weale płuc nie mieć, jak ryba, lub mieć je nie mniejsze od wielorybich, gdy z listami wymagającemi pośpiechu, ubiegał nieraz 32 mil angielskich na dzień, do Dublina, i tegoż wieczora stamtąd wracał.

Tancmistrz Denny był rodzajem lalki z weterpu. Prócz własnego nazwiska rozumiał jedno tylko słowo: a i to dla tego tylko

stało się dlań zrozumiałem iż je zawsze nieodłącznie od jego nazwiska wymawiano. Było to słowo *tańcu!* Tańcu Denny! było wszystkim co mógł słysząc rozumieć i, zaledwie słowa te obily się o jego uszy, natychmiast poczynał, za pomocą powykrzywianych nóg swoich, na jednym miejscu, kręcić, się i podskakiwać jak lalka na drócie, z mniejszą tylko naturalnością, wdzięcznie przytém zgrzytając zębami, wywracając wstúp oczy i potrząsając ogromną, gęstemi białemi włosami pokrytą głowę. Jedną tylko rękę wyciągał po jałmużnę i uczuwszy sztukę monety w dłoni natychmiast zaprzestawał skoków i ruszał spokojnie dalej, dopóki znowu jaki amator nie zawoła *tańcu!*

Will Woods bezwątpienia przeznaczoney był pierwiastkowo od natury na bohatera. Co do uczuć prawdziwym był pniem drewnianym; szczególne zaś ukontentowanie znajdował w niszczeniu wszystkiego, co dostać mu się mogło w ręce, i przypatrywaniu się ćwiczeniom wojskowym. Słusznego będąc wzrostu, silny, z regularną twarzą i zębami zadziwiającej białości, mogłby nawet uchodzić za człowieka przystojnego: ale jakiś piekielny uśmiech, połączony ze zgrzytaniem zębów, nieskończenie go szpecił. Obecny był nieochybnie przy każdej ekzekucyi winowajców i zawsze maszerował przed oddziałem milicyi prowadzącej osądzonych na stracenie. Nosił zwykle w takim razie spłowiały jakiś mundur, stary powykrzywiany kapelus, z wypłowiałą żółtą kokardą, i, w rękę, ogromny kiryssierski pałasz, którego żelazna pochew okropnie po bruku brzęczała. Nie jeden ze skazanych winowajców przed zgonem zeznał, iż śmierć bliska nie tyle zadawała mu cierpień ile nieznośny widok zgrzytającego zębami Will Wooda.

Wyrodek ten grał nawet później rolę w wymiarze sprawiedliwości sądowej. W okropnych bowiem czasach, o których mowa, a które szczęściem już nie wrócą, Will Wood otrzymał w jednym z miast prowincjonalnych obowiązek kata. Głos atoli publiczny nazbyt był mu nieprzyjaznym i, w spełnianiu swojego obowiązku, dla oszczędzenia winowajcom cierpień z widoku jego twarzy, przykrywać musiał głowę płótnem, w którym porobione tylko były otwory na oczy i usta, dla oddechu.

Paddy Puss był rodzajem prawdziwego potworu. W czasie kiedym go widział bliskim już był zgrzybiałej starości; atoli włosy jego zatrzymały dawny lniany kolor, gdy nie miał ani myśli któreby je robić cieńszemi, ani

trosk któreby bielić je mogły. Pomimo tego ścinał zawsze twarz swoją w tak płaczące kształty jak gdyby własną niedolę czuć był w stanie. Na wzór nierogatego bydła, szczególnie znajdował upodobanie w błocie, i najulubieńszym miejscem noclegu była dlań zawsze kupa gnoju. Jeśliby go policya miejscowa nie zmusiła do przepasywania się mocnym powrozem, lachmany służące mu za odzież oddawna zleciałyby były z jego ciała. Głowę i twarz miał nadzwyczaj długą, a nadto zawsze na bok pochyloną. Wykrzywioną swoją gębą nieustannie coś szemrał i chodził żebrząc od domu do domu.

Biedny John Ring był najbardziej interesującym z nich wszystkich. Był to młody człowiek, średniego wzrostu, ciemnej cery i regularnych rysów. Dobroduszny wyraz jego twarzy obudzał w każdym litość i sympatya. Historia jego życia nader była melancholiczną i wiele osób znajdowało upodobanie w słuchaniu jego przygód. Lecz sam niezdolny był do opowiadania i trzeba mu było na ten koniec zadawać szereg pytań, na które odpowiadał z obojętnością człowieka zupełnie rzeczy tej obcego. Otrzymawszy cokolwiek w jałmużnie oddalał się natychmiast, nie mówiąc ani słowa.

ROZMAITOSCI.

— W Anglii, czasów xiążęcia Regenta, lord Yarmouth, grywając z nim w karty, zauważał był jednego razu iż zaczął przegrywać z zadziwiającą regularnością, która zdawać się nawet mogła skutkiem jakiegoś podstępu. Karty miewał doskonale; daleko był w grze od prze-

ciwnika swojego silniejszym, i najczęściej prócz ich dwóch nikogo więcej w pokoju nie było, gdy zwykle grywali w pikietę lub inną jakąś grę, nie wymagającą więcej nad dwóch partnerów. Rzecz ta zdawała się niepojętą, i zaledwie po długich poszukiwaniach udało mu się przyczynę stałego nieszczęścia swojego odkryć.

Dwór bawił podówczas w Windsor czy Brighton, i, od niejakiego czasu, xiążę Regent wprowadził był w modę granatowe fraki, z polerowanymi stalowymi guzikami takiej wielkości, iż przedstawiały prawie powierzchnię naszego rubla. Przez uszanowanie ku Królewskiemu jego dostojenstwu, każdy, z osób obecnych, stawać przed nim musiał z frakiem zapiętym, gdy tymczasem J. K. M. zapinał własną suknię w tylko w razie zimna, co rzadko w lecie miejsce mieć mogło. Tym sposobem grający z nim, miał na piersiach, nakształt zbroi, siedm do ośmiu doskonale polerowanych zwierciadeł, w których odbijały się najwierniej wszystkie karty nieszczęśliwego pacyenta, który je, dobrą wiarą, przed niemi rosładał. Wszystko to, bezwątpienia, mogło być tylko skutkiem szczególnego zbiegu okoliczności; ale szczególny ten zbieg okoliczności przyprawił lorda Yarmouth o stratę nie jednego tysiąca gwinei; a wiadomo, że, przy kilku nawet milionach rocznego dochodu, zawsze przyjemniej wygrywać niżeli ciągle być przegranym. Owoż, lord Yarmouth, dostrzegłszy tej przypadkowej chytrności, nie wiele myśląc, rospiał się i na zapytujące spojrzenie regenta odpowiedział:

“U W. K. M. za gorąco dla mnie.”

(s Pam. xżny Abrantès.)

Balamut wychodzi raz na tydzień, w Soboty. Cena roczna z pocztą r. ass. 20. Prenumerować można zapisując odezwy do Redakcyi, lub do Gazetnej Expedycyi tutejszego Pocztaamtu. (Въ Газетную С. Петербургскаго Почтамта Экспедицію.) Prenumerującym posyłają się zawsze wszystkie numera od początku roku wyszłe.

Na powtarzane zapytania czyli Balamut przyjmuje artykuły nadsyłające się s prowincyi, Redakcyja ma zaszczyt odpowiedzieć szanownym a ciekawym korespondentom, iż zawsze z wdzięcznością przyjmowała i przyjmuje pisma, bądź wierszem bądź prozą, z duchem Balamuta zgodne, i wszystkich najuprzejmiej do nadsyłania ich wzywa.

ПЕЧАТАТЬ ПОЗВОЛЯЕТСЯ. С. - П. - бургъ, Марша 13, 1834. Ценсоръ П. Гавскій.

ВЪ ТИПОГРАФІИ КАРЛА КРАЙЯ.